№ 12. Warszawa, dnia (11) 24 Marca 1900 roku. Rok XLII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:

w Warszawie:	Z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . . rs. 1	kwartalnie . . rs. 1.25
Za odnoszenie do domu	półrocznie . . „ 2.50
kop. 10.	rocznie . . . „ 5.—

Rękopisów mniejszych Redakcya autorom nie zwraca.

ZA GRANICĄ: **We Lwowie i Krakowie:** Kwartalnie **flor. 1.80.** Na prowincyi **flor. 2.20. W Poznaniu** kwartalnie **mr. 3,** na prowincyi **mr. 3.75.** W innych państwach związku pocztowego kwartalnie **rs. 1 kop. 60,** lub walutą zagraniczną podług kursu.

Agencye główne na Galicyę: **we Lwowie** Agencya dzienników i inseratów **St. Sokołowskiego** Pasaż Hausmana l. 9; **w Krakowie** Księgarnia **S. A. Krzyżanowskiego.** Agencya główna na Niemcy **Księgarnia Świętego Wojciecha** w Poznaniu.

Adres Redakcyi i Administracyi:

Warszawa, Chmielna 26.—Telefon 106.

Od Redakcyi.

Z uwagi, że spóźnione wnoszenie prenumeraty oprócz utrudnień dla administracyi, pociąga za sobą nadto niemożność obliczenia nakładu pisma, przez co wszystkim zgłaszającym się później odmawiać musimy wysyłania „Tygodnika" — upraszamy Szanownych Abonentów o wczesne wnoszenie prenumeraty na kwartał drugi roku 1900.

Przypominamy Szanownym Prenumeratorom o nadsyłaniu kartki adresowej z opaski przy odnawianiu prenumeraty, jak również przy wszelkich reklamacyach.

Adres: „Tygodnik Mód i Powieści" w Warszawie, Chmielna Nr. 26.

SEWER.

LEGENDA.

(Dalszy ciąg).

— Józia dziś śliczna — rzekła Zosia całując ją.—Szczęście wygląda ci z oczu, wychyla się z ust. Cóż się stało.

Józia się zapłoniła, profesor spuścił oczy.

— Powiem ci później—szepnęła.

— Intrygujesz mnie?..

Weszła matka w białym czepeczku i białym fartuchu.

— Od wójciny—mówiła—masło, chleb upiekłam w nocy!.. Dzieci, dobrze mi z wami i kocham was. Odpoczywam teraz, a com przeszła, to tylko obie z Józią wiemy.

Otarła chustką zwilżone oczy.

— Mamusiu, dzisiaj nie wspominaj o przeżytych ciężkich chwilach. Pamięta mama jak Jaś przechodził codzień rano i w południe około naszego okna i patrzał. Umie on patrzeć. Mama kiedyś przypadkiem zapytała go o godzinę i zaczął się nam kłaniać. W trzecią Niedzielę mama szła do kościoła, on przechodził, poszliście razem. Po kościele odprowadził mamę, wstąpił, został na obiedzie i... i... — objęła go za szyję i pocałowała. — Przychodził codzień, aż póki nie dostał posady. Potem raz tylko przyjechał na ślub i zabrawszy na furkę całą biedę naszą, pojechałyśmy za nim. Mamusiu, to przecie były szczęśliwe chwile naszego życia. Kochałam go, widział naszą biedę, lgnął do nas, zazdrościły mi rówieśnice. Na ślub stryj przysłał niespodzianie dwadzieścia guldenów—była radość.

— Malutkie rzeczy wielkie sprawiają radości—rzekła poważnie Zosia.

Po śniadaniu zanim się szkoła zaczęła, pobiegły obie do ogrodu. Pod cieniem jabłoni zatrzymały się, Zosia patrzała w oczy Józi.

Cała w płomieniach, kryjąc twarzyczkę na piersiach towarzyszki, szepnęła:

— Zostałam matką. Ty to szczęście rozumiesz, ale go odczuć nie możesz. Gdy pomyślę, że jestem matką, jakieś rozkoszne dreszcze przechodzą po mem ciele—wzruszenie odbiera mi mowę, łzy cisną się do oczu. Będzie nas dwie, druga ja, połowa mojej duszy, krew moja, ciało moje! Będzie nas dwoje, ja i ona!..

Rozpłakała się, Zosia ją tuliła do siebie.

— No, no, moja matusiu, uspokójże się. Odczuwam twoją radość, będzie was dwie na świecie, to wielkie szczęście. Ty będziesz miała kogo kochać, ona musi ciebie kochać. Dwie istoty jedna z drugiej powstałe, dopełniające się wzajem, a nad niemi jak duch — miłość. Weźmie twoją dobrą, łagodną duszę, twoją piękność i stanie przed tobą: Jestem twoją—powie—bo jestem tobą!

— Cicho, cicho—szeptała Józia — bo mi ze szczęścia serce pęknie. Stało się — poczęłam i oddaję się Bogu, on zesłał na świat te cuda i ludziom tu na ziemi stworzył już nieśmiertelność. Mama mówi, że jej wróżą najszczęśliwsze chwile życia—chwile kiedym ja przyszła na świat... „Teraz będę was miała dwie," powiedziała i rozpłakała się. Jaś jest uroczysty, dumny, poważny. Cóż chcesz „tata."

Roześmiała się serdecznie i łzy świecące w oczach otarła.

Po raz drugi dzwonek zadźwięczał w powietrzu na znak rozpoczęcia lekcyi. Wracały trzymając się za ręce, Józia rozpromieniona, Zosia zasłuchana w samej sobie. Czy i ona kiedyś będzie się czuć szczęśliwą, gdy i na nią przyjdzie zwiastowanie?

* * *

Widok nauczycielki wywoływał w oczach i uśmiechach dzieci radość. Kochały ją i rade witały.

Nauka rozpoczęła się śpiewem. Śpiew Zosi panował nad dziecięcymi głosami i prowadził je. Po śpiewie rozpoczął się egzamin z nauki poprzedniego dnia. Pomagała im, podpowiadała, głaskała, pieściła.

— I matki nie potrzeba—szepnęła do koleżanki Ulisia.

Szept ten usłyszała Zosia i jakieś dziwne ognie buchnęły jej na twarz prosto z serca, aż się odwróciła i patrzała chwilę w okno...

— Ci „najmłodsi“ nie mają w swem pojęciu wyrazu matka. Macierzyństwo u nich to przekleństwo świata, to przedłużanie mąk istnienia. Lecz o tem zapominają, że macierzyństwo to nieśmiertelność, odmładzanie ludzkości, to siła, odrodzenie, wiara w przyszłość. To nieprawda, żeby nie było celu naszego istnienia... Jest, czuję go w sobie, walczę i jestem lepsza. Tak, jestem lepsza, aniżeli przed rokiem, aniżeli wczoraj. To mi daje otuchę i wiarę w siebie — czuję, że dążę do doskonałości, do absolutnej doskonałości — do Boga!

Odwróciła się dumna i majestatyczna ze zwycięstwa nad sobą. Dzieci patrzały na nią oczyma zdziwionych sarn, w których tkwiła prośba i oczekiwanie.

— Chcecie bajki?—zapytała wesoło.

— Chcemy—odparły szeptem dzieci.

— Prosimy — odpowiedziała głośniej Ulisia.

— A o czemże? Powiedzcie jakiej bajki chcecie?

Zapanowało milczenie i zakłopotanie.

— Która ma ochotę powiedzieć, niech podniesie rękę do góry.

Z drugiej ławki dźwigała się powoli ciemna rączyna okryta rękawem koszuli.

— Kasia Skrzypkówna chce powiedzieć — zawołały dzieci.

— Mów Kasiu.

Oczy wszystkich zwróciły się na małą, chudą, o wielkich jak bławaty oczach dziewczynkę. Zrobiło się cicho.

— O takiej królewnie...—zaczęło dziecko cicho i urwało zatrwożone.

— Mów Kasiu o jakiej?..

Milczała zapłoniona.

— Chodź do mnie.

Wyszło dziecko z ławki, Zosia odprowadziła je ku oknu, schyliła się przy niej mówiąc:

— Jeśli się wstydzisz głośno, to powiedz mi do ucha.

Ucho swe przybliżyła do jej ust.

— O takiej — szeptała Kasia — coby była tak dobra jak oni i taka ładna jak oni...

— Słyszeliście, pochlebnica!

Pocałowała Kasię, głaszcząc jej chudą twarzyczkę.

— I my takiej samej chcemy, o taką prosimy — wołały ośmielone dzieci, chłopcy najgłośniej.

Kasia cicho, jak myszka, bosemi nożynami pobiegła na swe miejsce.

— Słuchajcie!

Dzieci usadowiły się najlepiej do słuchania, ciężko odetchnęły. Zrobiło się cicho, jak mak siał—usta odchylone i rozwarte oczy.

„Na wysokiej górze stary zamek kąpał się w promieniach słońca. Mieszkał w nim potężny król z córką piękną jak wiosna, uroczą jak słodki sen, uśmiech miała podobny do porannej zorzy, a dobrą była jak litość, serdeczną jak przyjaźń, cichą i miłości pełną...

Ale daremno rycerze się zjeżdżali ze świata i o rękę prosili królewny. Smutna, zamyślona odmawiała wszystkim, a równocześnie pytała po co ja żyję?.. Rówienniczki odpowiadały jej jedne żartem, drugie piosnką. Pytała uczonych—ci z ksiąg czytali mądre słowa, lecz nikt jej nie potrafił rozwiązać pytania.

Raz pewnego dnia król siedział na tronie, zajęty sprawami rządzenia, królewna padła mu do nóg i rzekła:

— Królu mój i ojcze, pozwól mi pójść w świat!

Król zdumiony począł ją całować i prosić.

— Pociecho mego życia, dziecko me jedyne, nie opuszczaj swego ojca...

Królewna milcząc płakała. Łzy rozbroiły ojca.

— Widzę — rzekł — jak tęskne życie twoje w zamku, gdzie nic pocieszyć cię nie może, a więc jedź, dam ci hufiec rycerzy i mego najmędrszego sługę, aby ci się co złego w drodze nie stało. Wracaj gdy zatęsknisz do nas.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z za rzek i mórz.

Najpierw telegramy, a następnie bardziej szczegółowe objaśnienia korespondentów przyniosły nam wiadomość o katastrofie, jaka miała miejsce w paryżu pod datą 8 Marca. W dniu tym, w godzinach popołudniowych zapowiedzianem było w teatrze Francuzkim przedstawienie: „Bajazeta“ tragedyi Racine'a i drugiej sztuki noszącej tytuł: „Deputowany z Bombignac.“ Już zgromadziła się przed teatrem znaczna liczba widzów oczekujących otwarcia, gdy nagle o 5 minut do 12-tej ukazały się z okien pierwsze słupy dymu, a wraz z nimi płomienie. Niebawem na balkonie pierwszego piętra, do którego było wyjście z foyer, zjawił się siwowłosy człowiek, wołający ratunku, którego uratowano dzięki przytomności jakiegoś przechodzącego żołnierza. Za radą tego ostatniego zatrzymano przejeżdżający omnibus, który zaprowadzono pod balkon, i umieściwszy na tej podstawie drabinę, jaka się znalazła pod ręką, zdołano uratować starca, w którym bliżej obeznani z personelem teatralnym, poznali urzędnika miejscowego archiwum. Ze strony publiczności, jak to zwykle miewa miejsce, ratunek był słaby, gdyż zapanował odrazu popłoch niezmierny, a zorganizowana pomoc straży ogniowej nie nadchodziła. Zresztą i sama akcya ratunkowa licha była niezmiernie, bo okazał się zupełny brak wody i sikawki parowe długi czas stały bezczynne. Wszystko też w sprawie ratunku było niedołęztwem i niedbalstwem samem. Kurtyny żelaznej nie spuszczono, z maszynistów nikt nie znajdował się na stanowisku, zbiorniki wody były puste, a danie sygnału alarmowego stało się niepodobieństwem, garderoby bowiem nie były połączone dzwonkami elektrycznymi.

Wobec takich urządzeń nie dziw, że zniszczenia okazały się ogromne. Czego nie pochłonął ogień, obróciły w nicość ręce ratujących. Straż pożarna wtargnąwszy do wnętrza gmachu, wyrzucała oknami obrazy, posągi, książki, papiery, broń — wogóle przedmioty sztuki i utensylia teatralne. W ten sposób zniszczone są zupełnie cenne gobeliny poodzierane ze ścian, niby gwoli uchronienia ich przed pożarem — w ten sposób straconem jest wszystko, co się znajdowało na scenie, sala widzów cała, niektóre garderoby, kilka sal archiwalnych i skład dekoracyj. Ocalała tylko kancelarya dyrekcyi, foyer i ta część archiwum, w której mieściła się między innemi kolekcya listów i rękopisów Moliéra.

Straty w ludziach są takie: siedemnaście osób z pomiędzy ratujących poniosło rany, a wśród nich jeden oficer i jeden żołnierz—ciężkie. Artyści i urzędnicy teatru ocaleli wszyscy z wyjątkiem panny Henriot, którą znaleziono zwęgloną zupełnie w garderobie, a rozpoznano jedynie po szczątkach kostiumu Zairy, w który już była przybraną.

Pożar, jak wykazało śledztwo, nastąpił wskutek zatkania się rury kaloryferowej przeprowadzonej pod sceną. Można sobie wystawić, co byłoby się stało, gdyby katastrofa nastąpiła godzinę później, to jest podczas przedstawienia.

Bądź co bądź przy każdem nowem nieszczęściu zaszłem w teatrze, cyrku lub sali koncertowej, nie można opędzić się myśli, że ta niesyta nigdy urozmaiceń ludzkość dzisiejsza zbyt hojną daniną składa śmierci, dzięki wszelkiego rodzaju widowiskom, bez których żyć nie może.

Zagadnieniem, które w danej chwili niezmiernie zajmuje umysły wynalazcze obu światów, jest przeprowadzenie komunikacyi telefonowej między Europą i Ameryką. Jak donoszą, w pracy Edisona i Wiliama Holzera, wedle własnego zawiadomienia wielkiego wynalazcy amerykańskiego, trudności główne zostały już pokonane. Stwierdzono stanowczo, że możliwym jest prąd tak silny, który fale głosowe przeprowadzi pod wodą, a co do względów odległości, to między Europą i Ameryką dosyć będzie jednej stacyi pośredniej.

Znaczenie, jakie mieć może to rozszerzenie telefonu do obsługiwania dwóch światów w stosunkach wzajemnych, będzie oczywiście przedewszystkiem handlowe, a bodaj-że wyjątkowo handel i przemysł zyskają na nim; koszta telefonowania przez ocean będą o wiele niższe, niż opłaty za komunikacyę telegraficzną, i to jest cała wielka wygrana, o której czytać musimy ciągłe powtarzanki szpaltowych rozmiarów po wszelkiego rodzaju dziennikach i tygodnikach. Ani nauce, ani rozwojowi pojęć, ani żadnemu wyższego porządku zpowinowaceniu się myśli ludzkiej nie ułatwi dróg ta komunikacya telefonowa. Poprostu kupiec lub przemysłowiec amerykański komunikować będzie swemu motjantowi europejskiemu w terminologii giełdowej o jakiemś podniesieniu lub spadku walorów, lub innem podobnem wydarzeniu. Istotne zbliżenia się społeczności tak potrzebne za dni naszych, a tak stanowczo poniechane i wykluczone, nic na tym i na żadnym podobnym wynalazku

do zyskania nie mają. Wie już dzisiaj zresztą każdy, co warte są frazesy o zbliżeniu między sobą narodów na drodze handlu i przemysłu — wie dziecko nieledwie, co warte są jako rzekomy pośrednik tego założenia, wszelkie międzynarodowe wystawy przemysłowe i turnieje. Hałaśliwe dziennikarstwo niby faktor usłużny podtrzymuje tę wrzawę, a tłum niekrytyczny, głuszony rzekomymi tryumfami epoki, zapomina o swoich istotnych upadkach i niemocach.

W berlińskim związku „Frauenwohl" miał dr. Rosenberger pouczającą konferencyę o kobiecie jako przestępczyni. Zaznaczył najpierw, co zresztą wiadomem jest powszechnie, że udział kobiety w zbrodni i przestępstwach o wiele mniejszym jest niż mężczyzny. Najgorzej przedstawia się ten stosunek w Anglii, gdzie bądź co bądź na 100 karanych mężczyzn przypada kobiet 20. W innych zaś państwach i narodach stosunek ten przedstawia się tak. Na stu dekretowanych mężczyzn liczą kobiet: w Niemczech 18— we Francyi 16 — w Austryi 14, a w Rossyi tylko 9. Zasługuje na uwagę i ten wzgląd ważny, że podczas gdy wogóle liczba przestępców mężczyzn wzrasta w naszych czasach ciągle, cyfra przestępstw kobiecych od lat wielu stoi na jednym poziomie. Stanowi wewnętrznemu kobiety odpowiada zupełnie jej wygląd powierzchowny, a nawet anatomiczna budowa czaszki, która w małym bardzo stosunku procentowym posiada charakterystyczne cechy zbrodniczości. Natomiast wśród kryminalistek częściej niż u kryminalistów, objawiają się oznaki zwyrodnienia, a mianowicie: słabszy umysł, brak smaku, brak powonienia. Najwięcej kobiet skazywanych jest za kradzież—23% ogólnej ilości. Co zaś do pobudek tego przekroczenia najczęściej motorem jest nędza, rzadziej o wiele chęć błyskotek i próżność kobieca. Fałszywe świadectwa, fałszywe oskarżenia i oszczerstwa zdarzają się częściej u kobiet, niż u mężczyzn, co niewątpliwie policzyć należy na karb niedostatecznego wyrobienia pojęć obywatelskich, niedostatku znajomości prawa, i zrozumienia odpowiedzialności prawnej. Co się zaś tyczy pociągu do kłamstwa, o tym twierdzi dr. Rosenberger, że bywa on u kobiet chorobliwym, a przy bujnej fantazyi większa część kłamiących przekonaną jest, że mówi prawdę. W ogólnem rozumieniu, zdaniem prelegenta, mniejszy udział kobiety w zbrodni objaśnia się i przez to także, że wiele przestępstw jest dla kobiet wprost niemożebnych np. grabież, włamanie, wszelki akt przemocy nad słabszym, sprzeniewierzenia pieniężne, opór władzy i t. p.

Co do pochodzenia, stwierdzono, że większy kontyngens kryminalistyce dostarczają dzieci prawe niż nieprawe, i większa ilość przestępczyń rekrutuje się z pośród niezamężnych, aniżeli z kategoryi żon i matek rodziny. Środki zaradcze przeciw zbrodniczości ze swojej strony proponuje dr. Rosenberger takie: podniesienie poziomu oświaty przedewszystkiem, następnie polepszenie warunków bytu przez dopuszczenie do posad etatowych na tych prawach, z jakich korzysta mężczyzna, a w końcu ponieważ macierzyństwo chroni przeciwko występkowi, ułatwienie kobiecie możności wychodzenia za mąż. Jednem słowem radzi prelegent, aby kobietę zrobić szczęśliwą. Zapewne że to byłoby bardzo dobrze — ani my dla kobiety, ani ona sama dla siebie nicby więcej nie chciała z pewnością.

O dosyć charakterystycznym fakcie podają do wiadomości dzienniki angielskie, a za nimi i wszelkie inne. Przed kilku dniami policya miejscowości kąpielowej w Bournemouth została powiadomioną telegraficznie, że w pociągu jadącym z Somerset znajduje się młoda osoba, która uciekłszy z domu rodzicielskiego zdąża na plac boju do południowej Afryki. Gdy pociąg stanął na stacyi nie zauważono między przybyłymi żadnej osoby odpowiadającej rysopisowi, natomiast wprawne oczy urzędników śledczych zwróciły się na jakiegoś gołowąsego młodzieniaszka, który nie miał ani wyglądu męzkiego, ani ruchów tak dalece męzkich, jak mniemał sam zapewne. Poproszono tego pasażera do osobnego pokoju i przekonano się z zawartości podróżnego kuferka, który poddano rewizyi, że męzkość jego jest w istocie więcej niż wątpliwą. Były tam bowiem dwa bardzo ładne blond warkocze, które piękna miss złożyła na ofiarę swojemu rycerskiemu animuszowi. Uznano to za legitymacyę dostateczną, i zawiedziona w zapędach swoich amazonka odjechała odwrotnym pociągiem w towarzystwie detektywa do taty i mamy. W innych okolicach Anglii sygnalizują identyczne wypadki.

Bardzo to jest ciekawe i bardzo w swoim rodzaju wymowne. Najprzód dlaczego ta rycerskość obudziła się dopiero po odniesionych zwycięztwach, a potem dobrze byłoby, aby ktoś przedstawił kobiecie angielskiej, że etycznie biorąc, jej zapędy wojownicze nie liczą się do tej kategoryi, co tego samego rodzaju postanowienia kobiet boerskich.

O ile te ostatnie świat, co do pobudek rozgrzeszy, i nie odmówi im bynajmniej swego uznania, o tyle w takim kaprysie angielki będzie on zawsze musiał ztwierdzić zawziętość, a nawet jeśli się godzi powiedzieć tak o kobiecie—drapieżność pewną.

Istniejące w Londynie towarzystwo psychologii dziecięcej dla zgromadzenia jak najwięcej materyału drogą doświadczalną, wystosowało kwestyonaryusz do wielu dziewcząt z zapytaniem o ich ideały. Oto co przeczytała w tem towarzystwie p. Young, która prowadziła tę ankietę w przedmiocie ideałów młodej dziewczyny angielskiej.

Odpowiedzi nadeszły od 1,000 dziewcząt, z których 600 pochodziło ze sfery robotniczej, a 400 z materyalnie możniejszej.

Z odpowiedzi tych przekonano się, że pragnienia zabawek i przysmaków zdradzają w wyższym stopniu dzieci klas ubogich niż zamożnych — o czem wiedzieli, prawdę rzekłszy, przed ankietą wychowawcy całego świata cywilizowanego. Dzieci rodzin zamożnych ze swojej strony bardziej skłaniają się ku pragnieniom rzeczy realnej wartości, co równie łatwo daje się objaśnić, jak tamto pierwsze, i czego również za odkrycie uważać nie można.

Blizko 20% dzieci objawiło chęć posiadania fortepianu — niewątpliwie takich dzieci, których rodzice na ten sprzęt zdobyć się nie mogą. I to najściślej w porządku rzeczy. Co dziwniejsze może to, że upodobanie do zwierząt zamanifestowało aż 47% dzieci klas zamożniejszych, a tylko 8% ze sfery uboższej, ale ponieważ to ma miejsce w Anglii, więc także za nadzwyczajność uchodzić nie powinno.

I znowu stary, oklepany wynik obserwacyi, że nauka, piękność, dobroć et caetera, bardziej są pożądane przez dzieci sfer kulturalniejszych, niż mniej oświeconych — a wogóle szlachetne pragnienia zdobycia dla istoty swojej realnej wartości duchowej, zdarza się w odpowiedziach tego kwestyonaryusza nader rzadko.

Ha! ludzie XX wieku powinni się godzić i z tym objawem jako znamiennym całkowicie.

Za podróżami oświadczyła się większość zapytywanych, zwłaszcza wśród starszych, z których jedna uważała za swój ideał biegun północny, a druga taki punkt globu ziemskiego, na którym nie był dotąd nikt.

Nielada zadanie będzie miał przed sobą przyszły mąż tej przyszłej kobiety!

Co do zawodu, najwięcej aspiracyj okazało się w kierunku sztuk pięknych.

Jednem słowem ideały wieku. Pozostają tylko dwie uwagi co do doniosłości tej całej roboty. Jedną z nich jest, że oryginalność brytyjska stanowi tu zabarwienie czysto specyalne — druga mówi, że tą metodą wogóle pedagogia nie przysporzy sobie chyba wielkich zdobyczy.

S.

Sprawozdania literackie.

W. Sieroszewski: „Brzask."

Pod ogólnym tym tytułem podał nam autor wiązankę wrażeń w różnych stronach globu zebranych, od skalistych pustyń Kaukazu do jakuckich polarnych krain, do szumnych ostępów Białowieży.

Najbardziej skończoną artystycznie jest nowela „Dno nędzy."

Pod niezbyt zręcznym tytułem pomieścił autor obrazy najokropniejszej niedoli, jaką umysł ludzki wymarzyć może.

Oto niedosyć, że powiódł nas ponad jeziora północnych krain, szare, zmartwiałe, w „kraj dziwnej smętności," w tajgę głuchą i rozpaczą—lecz w dodatku pokazał nam tam *jurtę* jedną opuszczoną zda się przez Boga i ludzi, jurtę wyklętych, wydziedziczonych nawet z tego drobnego działu radości, jaki przypada na ludzi żyjących pod tem strasznem niebem — jurtę trędowatych.

Trąd jest chorobą nawiedzającą często osady jakuckie. Jak w starożytności, jak w wiekach średnich, trędowaty uważany tam jest za *nieczystego*. Obawa przed straszną chorobą zrywa węzły rodzinne i skazuje dotkniętego cierpieniem na wyłączenie ze społeczeństwa. Po pierwszych objawach zarazy musi on usunąć się w miejsce bezludne, rzucone śród pustyni, gdzie żyją podobni mu nieszczęśliwcy. Nie wolno mu odtąd zbliżać się do mieszkań ludzi zdrowych—nigdy już nie weźmie udziału w uroczystościach świątecznych, nie zobaczy swoich. Patrząc na gnijące ciała współtowarzyszów niedoli, oczekiwać będzie

swojej kolei, aż zginie śród męczarni ciała i duszy,

Osada pamięta o swoich chorych. Od czasu do czasu jakut wydelegowany przez gminę przywozi im zapasy żywności i odzienia, zrzuca je z sań i ucieka pośpiesznie z miejsc przeklętych, których tchnienie samo—w jego mniemaniu — zaraża. Ale trafiają się lata, w których i zdrowym ludziom brak żywności—głód pustoszy osady jakuckie. Jakże im wtedy pamiętać o garstce wyklętych — czem dzielić się z nędzarzami? Głód kładzie wówczas kres katuszom trędowatych.

W tę otchłań bólu i rozpaczy zstępuje autor „Brzasku“ pewną i śmiałą stopą, jak człowiek, którego źrenic oswojonych z ciemnością polarnych nocy, ból żaden, rozpacz żadna nie razi, którego straszydła żadne i majaki potworne nie przejmują grozą. A doprawdy jak majak gorączkowych nocy, tak bieleje przed oczyma naszemi ta straszna jurta, piekło zaludnione żywymi trupami. I wyobraźni naszej narzucają się te noce okropne, gdy bólem, głodem skołatani nędzarze nerwowo naśladując jęki konającego, przechodzą w wycie, straszne zwierzęce wycie... gdy głód popycha matkę do zakosztowania trupa własnego dziecka.

A przecież są między nimi ludzie dobrzy, nawet prawie wszyscy są dobrzy. Ten starzec np. z twarzą tunguza, który nie złorzeczy światu, nie życzy nikomu podobnego nieszczęścia. „Niech będą zdrowi, niech im Bóg da... Czy rany moje mniej będą bolały, gdy zabolą innych?..“

Słowa miłości w takiem miejscu, z ust takiego człowieka wzruszają bardziej, niż wszędy po świecie, niż po kazalnicach nawet i domach Bożych wszelakiego obrządku. Ten stary męczennik pracuje za wszystkich i dla wszystkich; ma pogodę w duszy i nieraz słowo wesołe na ustach. Postać tego dobrego rybaka jakimś cieniem tajemniczości obwiał autor. I gdy nad jeziorem wśród wiosennego chóru lasów nuci piosnkę smutną i powiewną, cudzoziemską piosnkę przyniesioną z gubernialnego miasta, zaczynającą się od słów:

Księżyc blado lśni na nowiu
Przed pałacem piękność młoda
Stoi w szatach z złotogłowiu,
A łzy płyną niby woda.
. . . .

Hej dziewczyno znikł twój miły,
Kupcy wciąż ślą drużby, swaty,
Albo schroń się do mogiły,
Albo sprzedaj za dukaty...
Hej!..

To wtedy staje on przed nami, jak bezdennie smutna i niepokojąca zagadka.

A i inne jeszcze promienie rzucił autor na czarne tło żywota nędzarzy. Śliczną jest postać młodej, zdrowej kobiety dobrowolnie przybywającej do męża, z którym rozłąki znieść nie mogła, a który tymczasem dopuścił się już zdrady, zawiązawszy stosunek z młodą i zdrową ofiarą przemocy małżeńskiej. Tę drugą kobietę mąż sprzykrzywszy sobie, oskarżył o straszną chorobę i skrępowaną powrozami przywiózł do zarażonej jurty. Krzywda zbudziła w niej dzikie instynkty, uczyniła z niej furyę tyranizującą chorych. Łagodna, cicha bohaterka miłości małżeńskiej stanowi artystyczny kontrast z dziką, demoniczną naturą.

Jak sasanek syberyjski, podnoszący główkę z pod śniegów, skazany na krótkotrwanie, tak uśmiecha się do nas blado postać dziewczątka, rzuconego między najbardziej upośledzonych na ziemi. Niewiadomo czyja, między trędowatymi chowana, a zdrowa, wychudła, prawie zawsze naga snuje się po tej chacie, jak blady promyk podbiegunowego słońca. Ona stanowi krańcową nutę tego smętnego poematu. Mieszkańcy zarażonej jurty zginęli w pożarze — dziecko tylko ocalało i przyszedł posępny oswobodziciel, król tajg i jezior — niedźwiedź i położył kosmatą łapę na chudem ciele dziewczynki. Nie krzyknęła nawet, gdy przygniótł ją do ziemi. Osobom chorym na nerwy lub lekko choćby gorączkującym — nie możemy zalecić tej książki. Tak plastycznie odmalował autor wszystkie okropności przeklętej jurty, tak artystycznie ustopniował grozę i tony przerażeń—że ta rzeczywistość o wiele silniej przejmuje czytelnika, niż fantastyczne, robione sztucznie strachy Edgara Poe.

Światła, zieleni, szczęścia! — z duszy całej woła czytelnik i wraca pośpiesznie do pierwszych kart książki, na których świta „Brzask“ innych obrazów, innego życia i innych wrażeń.

H. C.

Pedagogia lecznicza.

Pomiędzy wielu niezapoczątkowanemi nawet u nas zadaniami społecznemi, które już na zachodzie znacznego dosięgły rozwoju, jest niewątpliwie i to, o którem mówi dr. Ołtuszewski w pracy swojej pod tytułem: „Zadania rodziców oraz społeczeństwa względem dzieci umysłowo upośledzonych.“

W pracy tej popularnie zupełnie napisanej, streszcza autor na użytek powszechny różne rodzaje niedostatecznego rozwoju u dzieci i cechy ich charakterystyczne. Upośledzonych umysłowo dzieli na trzy główne grupy, a mianowicie: na idyotów, głuptaków i zacofanych. Idyota, to zdaniem jego indywiduum, którego życie koncentruje się przeważnie w rdzeniu, które dzięki brakowi percepcyi, mimo prawidłowych zmysłów, pozbawionem jest wrażeń zmysłowych: pamięci i uwagi, i z tego powodu dzieci takie ani rozpoznają, ani wyróżniają, i wogóle nie mają żadnych wyobrażeń. Brak im też czuć zmysłowych i najmniej złożonych instynktów np. zachowawczego. Idyotów dzieli jeszcze dr. O. na zupełnych i niezupełnych.

Drugą kategoryę stanowi tutaj tak zwany głuptak. Jestto wyższy nieco stopień rozwoju—który jednakże z powodu słabej pamięci a głównie uwagi, tworzy sobie wyobrażenia zbyt powierzchownie, i z tej racyi jego kojarzenie pojęć, sądy i wnioski odbywają się w sposób powierzchowny lub fałszywy. Przytem te wyobrażenia, które sobie wyrabia, rzadko kieruje do rzeczy pożytecznych, czego dowód mamy w znacznym rozwoju jego uczuć egoistycznych, takich, jak skłonności do unie-sień, próżność i t. p., podczas gdy poczucie religijne naprzykład i względy etyki są dlań prawie całkowicie niedostępne. W dziedzinie woli zaznaczyć należy u jednostek tej kategoryi przewrotność instynktów i popędy natury patologicznej. Charakter głuptaka, w sumie biorąc, odznacza się egoizmem, niestałością i brakiem zmysłu moralnego.

Co do kategoryi trzeciej upośledzonych nazywanych przez autora zacofanemi, uważamy za obowiązek zwrócić uwagę czytelnika na samą tego terminu w mowie naszej luźność, i co za tem idzie na jego wielokrotne nadużywanie. W danym wypadku przez dziecko zacofane chce dr. Ołtuszewski rozumieć istotę na wyższym nieco stopniu rozwoju niż głuptak, mającą wszakże zawsze prawie ukryte cechy właściwe tej kategoryi.

Takie jest w broszurze zrozumienie trzech stopni zwyrodnienia, idzie teraz o cechy charakterystyczne. Jedną z takich stanowią niewątpliwie zboczenia mowy. Rozwój mowy u dziecka normalnego idzie tą koleją: najpierw zaczyna ono rozumieć mowę cudzą, następnie przyswaja sobie dźwięki i powtarza je, a w końcu dopiero zdobywa się na mowę samodzielną. Idyota zupełny nie dochodzi nawet do zrozumienia mowy—idyota niezupełny rozumie ją względnie. Głuptak zawsze prawie uzdolnionym bywa do zrozumienia mowy, ale jego długotrwała po większej części niemota, sprawia, że mowa jego własna bywa często niezrozumiałą. Nakoniec u tak zwanego dziecka zacofanego, rozwój mowy ma także zazwyczaj przebieg spóźniony, przyczem ustępująca niemota przechodzi zwykle w bełkotanie, a przynajmniej wymawianie wadliwe.

Co do przyczyn niedorozwoju psychicznego rozróżnia dr. O. zwyrodnienie dziedziczne od nabytego. Rozróżnienie to nie zawsze jest możebnem w praktyce. Dziedziczne musiało mieć jako sprężynę czynniki takie, jak naprzykład alkoholizm, morfinizm i t. p., przyczyny przypadkowe odnosić się mogą zarówno do epoki przed urodzeniem, jak po urodzeniu.

Dla rodziców nie zawsze dostępne są wskazówki, po których niedorozwój dziecka wcześnie stwierdzonym być może. Dr. O. streszcza je w ten sposób. Indywiduum takie nie potrafi ssać, nie oddziaływa na podniety świata zewnętrznego, a więc nie zatrzymuje wzroku na przedmiotach otaczających, nie uśmiecha się i okazuje skłonność do drygawek. Idzie teraz o to, czy nawet w wypadkach trafnego odgadnięcia stanu umysłu dziecka, wychowanie domowe okazać się może tutaj wystarczającem. Dr. O. jest zdania przeciwnego. Mowa jest do pewnego stopnia wykładnikiem intelligencyi, a do jej powstania ewentualnie do wytworzenia mowy zrozumiałej, potrzebne są te same czynniki, co do rozwoju sfery psychicznej. Jasnem tedy staje się, że przy leczeniu zboczeń mowy nieodzownie branem być musi pod uwagę rozwijanie władz umysłowych. a to jest zadanie, które na siebie wziąść może tylko ściśle zastosowana metoda medyko-pedagogiczna. Zadanie to trudne i mozolne, które ma jednakże za sobą świetne rezultaty otrzymane w specyalnych tego rodzaju zakładach zagranicą, a nawet miał już i dr. Ołtuszewski sposobność zanotować i w własnym zakładzie wyniki swoich usi-

łowań szczęśliwe i pomyślne. Jednem słowem dochodzi autor do wniosku, że dla każdej z tych trzech kategoryj niedostatecznie rozwiniętych umysłowo, nauka zrobić może bardzo wiele — to znaczy, że jeśli im nie da dosięgnąć rozwoju normalnego, może przynajmniej postawić ich na tym stopniu, że sobie i społeczeństwu ciężarem nie będą. Ztąd nawoływanie dr. Ołtuszewskiego, aby ogół wziął się do założenia własnemi siłami podobnego instytutu dla dzieci rodzin niezamożnych, a tymczasem zważywszy wielką rolę, jaką odgrywa w tej sprawie dziedziczność, przestrzega co do zawierania związków małżeńskich między osobami podlegającemi chorobom umysłowym, osłabieniu sfery umysłowej, nerwicom, a nawet między mającemi w rodzinach swoich jednostki dotknięte takiemi niedomaganiami.

X-a.

Bez dyplomu!...

Wypróbowany to zarówno przez rzeczywistych jak fałszywych nędzarzy pewnik, iż niema skuteczniejszego środka na zmiękczenie nieużytości ludzkiej, jak dziecko. I łachmany, jako zwykła liberya żebractwa, i wiek spóźniony, jako widome świadectwo nieporadności w walce życiowej, i rany, i kalectwa wszelkie mogą nie obudzić współczucia, bo pod łachmanami bywa nędza, ale bywa i występek—bo w starości żebractwo stanowi niejednokrotnie zyskowny proceder, a ran i kalectw widziano tyle przynajmniej fałszywych, co rzeczywistych. Obok tego wszystkiego przechodzi się w wielkich ogniskach ruchu obojętnie, ale niedola dziecka, ale przypuszczalny głód sieroty, i łzy niedoli lśniące w tych oczach dziecięcych, są to widoki wstrząsające, które nie dopuszczają już dochodzeń i sprawdzeń żadnych, i bardzo wielu takich, którzy idąc ulicą tamtych wszystkich pozostawili bez pomocy, dziecku nie mają serca odmówić datku.

Wiedzą o tem profesyoniści, i dlatego ma każde wielkie miasto, a do niedawna miał przedewszystkiem Paryż, roje całe małych przewodniczek ociemniałych, piastunek mało co młodszego od siebie rodzeństwa, sierot rzeczywistych i udanych, a oddających się ulicznej sprzedaży kwiatów, było zawsze w Paryżu najwięcej.

Wiadomem jest dobrze filantropii, jakie są zazwyczaj smutne losy późniejsze żeńskiego mianowicie kontyngensu żebractwa, wiadomo dobrze administracyi i władzom wykonawczym, i dlatego zarządziła municypalność paryzka tak surowe środki zaradcze w swoim czasie, że żebractwo dziecinne znikło prawie zupełnie z widoku.

Niema żebractwa, ale co się stało z żebraczkami? wiadomo bowiem, że zakaz publicznego odwoływania się do miłosierdzia bynajmniej nie kładzie końca nędzy ludzkiej.

Odpowiedzieć na to pytanie najtrudniej byłoby zapewne tym, którzy w porubrykowanych szematach dostarczają materyału statystyce urzędowej, więcej nierównie dowiedziećby się można od tych niezrażonych niczem, od tych niewidocznych działaczek, o których ogół wie mało dlatego jedynie, że mu o nich gazeciarska reklama nie przypomina przy wentach, bazarach i kermesssach dobroczynnych.

Zdumiewającem bo jest w istocie, co poza sferą znanej i głośnej dobroczynności znajduje się wszędzie serc ofiarnych i jakich cudów dokonać może niekiedy jednostka bez środków materyalnych, bez uzdolnień wyższych, stosunków, imienia głośnego — jednostka pozbawiona tych wszystkich darów, które zjednywać mogą ludzi i pobudzać ich ofiarność.

O takiej właśnie jednej zbieraczce ulicznego żebractwa dziecięcego donoszą pisma paryzkie, a donoszą dlatego jedynie, że głośny poeta Sully-Prudhomme, który od dawnego czasu był jej cichym w tem dziele miłosierdzia współpracownikiem, obecnie przy wzrastających kłopotach pieniężnych przedsięwzięcia, uznał za konieczne przypomnieć ją i jej schronienie miłosierdziu Paryżan.

Jestto panna Rault, która nie od dzisiaj zbiera małe dziewczęta bez opieki—albo sieroty zupełne, albo opuszczone przez rodziców chorych czy występnych. Panna Rault jest z powołania niby nauczycielką, ale zaledwie ją można zaliczyć do tego zawodu, albowiem zakładu naukowego nie kończyła, żadnego dyplomu nie ma, i sama przyznaje, że umiejąc bardzo mało, posiadała tylko pewien dar udzielania drugim tej odrobiny wiadomości początkowych, które posiada sama.

Przed dwunastu laty wiedziano o niej więcej nieco, niż dzisiaj, w roku bowiem 1888 akademia francuzka przyznała jej nagrodę Montyon'a, ale od tego czasu nie przypominała się ludziom, radziła potrzebom swego schronienia jak mogła i umiała przy nader ograniczonej liczbie protektorów, do których zaliczał się wymieniony już przez nas poeta francuzki.

Nie trzeba sobie wszakże wystawiać, żeby przy takiem ubóstwie środków, schronienie jej miało dawać przytułek jakiejś niewielkiej liczbie dzieci bez opieki. Owszem to jest coś zdumiewającego, żeby taka cicha pracowniczka gromadziła dokoła siebie stale prawie jakieś 100 do 125 dziewcząt ubogich. Co robi dla tych nieszczęśliwych? zapytacie.

Wszystko, odpowiemy wam, czemu siły ludzkie podołać mogą. Uczy sama z pomocą jednej tylko nauczycielki, broni od zepsucia, a gdy dojdą do wieku, w którym zapracować mogą na siebie, oddaje w służbę do uczciwych domów, albo nauczywszy jakiegoś rzemiosła, daje w rękę środek zarobkowania.

W tej ciągłej pracy, zdaje się, jak mówi sprawozdawca, iż musiała się nawet zaniedbać nieco, bo wyraża się dosyć niepoprawnie i zawsze ma sto rzeczy naraz do opowiedzenia, wywiązując się z tego nader dziwacznie niekiedy.

Przez długi czas miała siedzibę swoją w jakimś zaułku Ronsin wychodzącym z ulicy Vaugirard, gdzie zebrała 125 dziewcząt. Przyznawała, że to było trochę nad siły, ale co ma robić ten, który potrzebującemu pomocy odmówić nie umie? Dom sprzedano na rozbiórkę i trzeba było schronienia szukać gdzieindziej. Wyprowadziła się poza obręb Paryża, ale na wsi mieszkanie było źle zaopatrzone i niezdrowe, dzieci zaczęły chorować i musiała więc z wielkim żalem oddać około 40 takich, które miały jakąś dalszą familię. Z 80-ciu dziewczątkami osiedliła się przy ulicy Breteuil i dziś, jak powiedzieliśmy, zaczyna doświadczać braku. Tu ją właśnie odwiedził współpracownik jednego z pism francuzkich, tu pokazywała ku jego podziwowi jak się to mieścić może w czterech pokojach niezbyt nawet obszernych, w kuchni i łazience tak wielka liczba dzieci. W łazience śpi ona sama i cztery dziewczęta najzdrowsze i najsilniejsze. Na uwagę dziennikarza, że jest w całem mieszkaniu tylko trzydzieści łóżek, odpowiedziała, że w każdym razie spać na podłodze pokrytej czemkolwiek jest zawsze o wiele lepiej, niż na schodach lub strychu, a one ztamtąd przychodzą do niej wszystkie. Są to więc te ostatnie, o których zapomniał świat. Nie od niej rozumie się, ale od czterech towarzyszek małych, dzielących tę szczególną sypialnię w łazience, dowiedział się sprawozdawca, jak to ona sobie radzi podczas długich zimnych tegorocznych nocy. Z wieczora temperatura bywa dosyć znośna, ale po północy obniża się bardzo szybko, i wtedy zaczynają się poruszać te dziecinne ciała stygnące. Ona odgaduje przyczynę tego budzenia się, i wtedy, jak powiadają dzieci, zdejmuje z siebie koleją wszystko, czem się okrywa sama i dzieli się z temi, które przygarnęła.

Nie ma nauki, a zdobyła sobie najwyższą mądrość życia—nie wołała o równouprawnienie do czynu, a przewyższyła czynem tyle dopominających się rozszerzenia przed kobietą widnokręgu dla jej działalności. Ani jej w głowie zapewne powstała myśl, aby ona kiedykolwiek mogła być działaczką polityczną, a jest nią na swój sposób mimo wiedzy i woli.

Sinite parvulos!.. to także polityka i nie byle jaka. Wszak ona jedna zmieniła naprawdę w swoim czasie postać świata.

S.

JULIUSZ ZEYER.

Na pograniczu obcych światów.

przełożył MIRIAM.

(Dalszy ciąg).

Czas zbiegał szybko przy podwojonej pracy i anim się spodział, jak nadeszła pora żniw. W błogosławionej tej dobie wydawał się cały nasz kraj jak gdyby stołem godów słonecznych w Etyopii, zasłanym błogimi dary czcigodnej Demeter. Bogini schowała już w pochwę złoty miecz, którym o wiośnie głębokie ryła w łonie ziemi bruzdy, aby czarodziejskie, żywot rodzące światło, aż do zimnego przenikło jej serca—i stała teraz cudna, złotowłosa, na wierzchole naszych gór, i wodziła połyskliwym sierpem nad świętą swą głową. A bursz

tynowe pola falowały pod niewidzialnemi stopami powietrznych rumaków, na których niezmordowany jeździec—wiatr letni—od różanego ranka do modrojasnej uganiał nocy. A dojrzałe kłosy drgały, czując tajemnie, że przyszedł czas, gdy oderwane będą od drogiej piersi ziemi rodzicielki, która wilgocią swoją karmiła je wiernie, gdy upał niebios wysuszał je i palił.

Na wszystkich ścieżkach polnych mięszał się śmiech żeńców z ogłuszającą gędźbą niepoliczonych świerszczy, kosy połyskały w powietrzu, a żeńcy skupiali się jak ptasie stada. Ale za to uważały się znowu ptaki za żeńców i nie dawały sobie działu swego w żaden sposób odebrać.

Był to czas radości i pracy, czas, gdy wszystko—ludzie i zwierzęta, do potu się wysilało. Tylko ciemne lasy stały drzemiąc dokoła, tylko wysokie góry z czołami słońcem wyzłoconemi strzelały w dali nad niemi nie dbając, co w dole pod niemi na ziemi się działo, zatopione w niezbadanym, odwiecznym swym śnie o wieczności, o której im słońce, miesiąc, gwiazdy i białe obłoki wielką, nieskończoną pieśń wciąż śpiewają.

Gdy wreszcie stodoły moje na oścież się otworzyły, by przyjąć na przechowanie dary ziemi, gdy na polach zaroili się weseli pokłośnicy, a główna praca była już ukończona, odjechałem do Pragi, aby ztamtąd zawitać do cichej wioski T... i, według umowy, w dniu oznaczonym zawrzeć z Florą związek na życie.

Przyjechałem do T... dopiero w południe, w sam dzień ślubu. Ani ja, ani Flora, ani Frydecki, nie życzyliśmy sobie żadnego rozgłosu, żadnej okazałości. Kupiłem rano w Pradze piękny welon koronkowy, a nadto przywiozłem Florze naszyjnik rubinowy starożytnej roboty, najdroższy nasz klejnot rodzinny. Uzupełniał te podarki ślubne wieniec mirtowy, bogato pomarańczowem przepleciony kwieciem.

Flora była poważna, ale nie afektowała żadnego smutku. Wydawała się zupełnie spokojną, tylko ręka jej drżała, gdy mi ją podała na przywitanie. Podziękowała mi za dary i zachwycała się bardzo uprzejmie delikatnością koronek, ogniem rubinów i słodką wonią kwiatów. Siedziała cały czas koło mnie i starała się bawić mnie miłą rozmową, ale nie udawało się jej to bardzo. Urywała często i była widocznie zadowolona, gdy wymówka, że czas już się ubierać, dała jej sposobność oddalić się do swego pokoju. Została tam bardzo długo. Oczekiwałem już, że mimo pierwotnego, stanowczego zamiaru, aby unikać wszelkiej okazałości, w świetnym zjawi się stroju, ale zdumiała mnie prostotą, więcej ubóstwem prawie swego ubrania. Miała na sobie długą suknię muszlinową, zapiętą pod samą szyję, a na głowie mirtowy mój wianek i welon, ale nie ten drogi z koronek, który jej przywiozłem; inny, daleko gęstszy i mocno pożółkły, spływał jej z tyłu w długich fałdach aż po kolana, a z przodu opadał z czoła aż na oczy. W ręku trzymała bukiecik białych róż. Zbliżywszy się do niej, spostrzegłem, że oczy miała zaczerwienione od płaczu. Spytałem głośno, czemu nie wzięła mego welonu i nie włożyła na szyję rubinowego naszyjnika, a szeptem dodałem zapytanie czemu płakała?

— Suknia ma jest zbyt skromna do twoich rubinów — odpowiedziała. — Żądałeś sam, aby ceremonia odbyła się bez wszelkich zbytków i okazałości. Co do welonu, jest to jedyna pamiątka po mojej matce. Ufam, że pozwolisz mi w tem postąpić według mej woli? We wszystkiem innem posłuchałam cię bez oporu.

— Dzięki! Rób, jak ci się spodoba. Widzę, że będziesz wzorem żony. Ale dlaczego płakałaś?

— W tem zapomniałam cię posłuchać — uśmiechnęła się smutnie — kazałeś mi być spokojną, rozumną i trzeźwą według twego przykładu. Miej cierpliwość, będę zupełnie taką, jaką mnie mieć pragniesz. Tylko dziś jeszcze zostaw mi poniekąd moją wolę! Popłakać musi każda panna młoda. Czemu—nie wiem. Opłakujemy może swoje ideały.

— Jakiż to ideał masz na myśli?

— Cóż cię to obchodzić może?

— Radbym jednak wiedzieć. Może klasztor, o którym kiedyś marzyłaś?

— Więc... tak... może klasztor, skoro tak chcesz—odpowiedziała cicho po dłuższem wahaniu.

— Nie wierzę! — wybuchnąłem głośnym śmiechem. — Sądzę, że nie ubliżę żadnej pannie, podejrzewając, iż przedewszystkiem marzyła o wyjściu za mąż.

— Nie ubliżysz, być może—odparła cicho.— Ale w takim razie—dodała z westchnieniem— jest to niewątpliwie marzenie o innem małżeństwie, niż to nasze.

— W takim razie pożegnaj się na wieki ze swym ideałem—rzuciłem z rozdrażnieniem i ująłem ją za rękę.

Nie rzekła nic, zwiesiła tylko głowę i wyszliśmy z domu w milczeniu. Szliśmy w zadumie przez wieś, tonącą w złotem powietrzu wieczornem, w którem jaskółki pływały jak w jakiemś morzu światła. Ludzie stali na progach domów i przyglądali się ciekawie pannie młodej, a całe stado dzieci uganiało przed nami i za nami, szczebiocząc, jak owe jaskółki w powietrzu, i błyskając ku nam niewinnemi, pełnemi zdumienia i zachwytu oczęty.

Weszliśmy do kościołka. Był cichy, mroczny, a czar wieczoru przysłaniał, niby gazą złocistą, trzeźwe jego ubóstwo. Stanęliśmy przed ołtarzem. Świece migotały w słabych dymach kadzidła, w szyby okienne pukały nawpół uschłe liście drzew delikatnie i przytulnie, jak rączki nowonarodzonego dziecięcia, ze spokojną tą harmonią spływał głos Flory, wymawiającej marzącym półszeptem przysięgi małżeńskie. Ceremonia skończyła się w kilka minut, i cicho, jakeśmy przyszli, wróciliśmy do domu.

Flora przebrała się i pojechaliśmy do Bubencza na stacyę, bo umówiliśmy się, że pierwsze dni małżeństwa spędzimy w Dreznie. Frydecki odprowadził nas na stacyę.

— Tu więc mam pożegnać się z tobą ojcze? — spytała Flora drżącym głosem.—Więc już cię nie zobaczę, zanim się w tę długą, daleką udasz podróż?

— Rozmyśliłem się—odpowiedział Frydecki po chwili milczenia — muszę jeszcze z Łazarzem o ważnych pomówić rzeczach. Odwiedzę was u was na wsi, jeżeli naturalnie będziecie tam za tydzień.

— Oh, będziemy z pewnością! Nieprawdaż, Łazarzu?—wołała Flora.

— Będziemy — odpowiedziałem, prowadząc ją do wagonu, gdyż pociąg miał ruszyć za chwilę.

Wiewała ku ojcu na pożegnanie białą chusteczką, oczy jej zwilgły, jak gdyby ją miłością i pieczą przez całe otaczał życie.

Biedna Flora! Płakała, żegnając się z domem, gdzie bez miłości żyła w sieroctwie, a może dręczyła ją także niepewność, co oczekuje w domu mężowskim trwożne jej serce.

IX.

Gwoli Frydeckiemu nie zatrzymaliśmy się długo w Dreznie, które nawiasem mówiąc, bardzo niewiele Florę zajmowało. Wydawała się zbyt pogrążoną w myślach dotyczących zmiany jej stanu, aby reszta świata żywiej na nią oddziaływać mogła. Tylko przed Chrystusem Tycyana wybił się zachwyt na jej twarzy, a przed Madonną Sykstyńską drgnęła jej ręka, spoczywająca na mem ramieniu. Niewysłowiona jakaś tkliwość rozlała się na jej twarzy, a oko rozjaśniało cicho w głębokiem wzruszeniu. Ale nawet wówczas nie zdradziła ani słowem swych uczuć, została niema, a gdy po chwili jakaś wędrowna karawana hałaśliwie koło nas banalne dytyramby w pruskiem narzeczu na cześć „boskiego Rafaela“ wykrzykiwać jęła, przymknęła Flora oczy i pociągnęła mnie ku wyjściu. Śpieszyła się tak, że zdawało się, iż ucieka z galeryi. Zacząłem śmiać się z niej.

— Czemu przymknęłaś oczy?—spytałem.

— Nie miałam pod ręką opony, aby Madonnę przed napaścią estetycznej zasłonić chełpliwości, zrobiłam tedy jak dziecko, które mniema, że rzecz jest ukryta, jeśli samo nie widzi.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Ś. P.

JÓZEF KENIG

oddał Bogu ducha w dniu 14 Marca 1900 r. w wieku lat 79.

Ś. p. zmarły był jedną z postaci najpowszechniej znanych i ogólnie cenionych w naszem mieście. Wybitnych zdolności publicysta liczył się w zawodzie swoim do sił pierwszorzędnych znanych nietylko w kraju ale i u obcych. W ciągu lat blizko sześćdziesięciu, aż do samej niemal chwili zgonu pracował w dziennikarstwie, zajmując przez czas długi miejsce naczelne, jako kierownik pisma w tej epoce najpoczytniejszego. Zostawia po sobie dobrą pamięć i żal szczery wszystkich, którzy bliżej go znając mieli możność ocenienia przymiotów jego umysłu i charakteru.

Pokój wieczny jego duchowi.

KRONIKA.

Curiosum.

Czytamy w pismach, że na jednej z pensyj warszawskich odbył się raut, na którym uczennice starsze (!) odegrały sztuczkę francuzką z muzyką p. t. *La reine d'une heure.* Śpiewy i tańce solowe przyczyniły się do urozmaicania zebrania.

Tyle wesoły sprawozdawca.

A więc z woli przeznaczenia powrotna fala niesie nas pod pełnymi żaglami ku tym szczęśliwym brzegom, na które wylądowawszy spotkamy prawdopodobnie jakąś poprawną edycyę opisanej przez Hoffmanową w „Dzienniku Franciszki Krasińskiej“ panią Strummle, a ta, prawdę rzekłszy, była przedmiotem szyderstwa nietylko matek, ale i babek naszych. Zmartwychwstanie przytem u nas solowego tańca dać może tę miłą otuchę, że ukaże się tam na onych brzegach i spasła postać piewcy „Zofijówki,“ która nas udaruje może utworem w rodzaju: „Do Kossowskiej w tańcu.“ A my będziemy sobie w wieku, który ma podobno nosić nazwę *wieku równouprawnienia kobiety*, deklamować: „Cóż to za cudne natury dzieło!“ jak to czynili ci przyjemni figlarze z końca osiemnastego stulecia.

I warto też było napisać i nagadać tyle rzeczy, poczynając od *Powrotu posła*, a skończywszy na *Cudzoziemszczyźnie*, żeby nas raz jeszcze łamać miały boleści przywiązane do choroby, którą Niemcy niegrzecznie zaliczą do przynależności *Wejchselzopfu!*

Niepoprawni! Niepoprawni! Niepoprawni!

Towarzystwo opieki nad nieuleczalnymi.

Na ostatniem zebraniu miesięcznem rady opiekuńczej tej instytucyi, skarbnik Towarzystwa złożył sprawozdanie kasowe i bilans za rok ubiegły, które będą doręczone zebraniu ogólnemu do zatwierdzenia. Z tego elaboratu dowiadujemy się, że w ciągu Lutego wpłynęło do kasy stowarzyszenia rs 927, wydano zaś 2,437 rs. Stan kasy zniewala zarząd odwołać się do ofiarności ogólnej—w przeciwnym razie ucierpiałoby na tem założenie, które sobie postawili stowarzyszeni. Aby zrozumieć jak upośledzoną jest pod względem uposażenia instytucya opieki nad chorymi nieuleczalnymi, dość będzie zestawić przytoczoną powyżej cyfrę przychodu, z rozgałęzieniem czynności tego dobroczynnego dzieła miłosierdzia.

Ruch chorych w miesiącu Lutym był następujący:

Do Przytułku rakowatych w Królikarni przyjęto w Lutym 4 osoby — zmarła 1, pozostało po dzień 1 Marca osób 28. W innych lecznicach Towarzystwa przyjęto w Lutym osób 5,163, a z tego: Przy ulicy Wspólnej 1,192 — na Sewerynowie 974—na Kanonii (gdzie obecnie udzielają porad codziennie) 2,997. Lekarstw wydano z apteczek miejscowych 3,235 — bonów na strawę 348 — bonów do kąpieli 277—datków pieniężnych 45 rs. Oprócz tego rozdawano chorym w naturze mleko i wino, a najuboższym odzież i bieliznę.

W tych cyfrach rzuca się bądź co bądź do oczu ogrom nędzy warszawskiej, pozostającej bez ratunku—ogrom, któremu instytucya tak niedostatecznie uposażona, jak ta, o której mówimy, ani w części zaradzić nie jest w stanie.

Nieuleczalni, którzy wiedzą o tem, że są nieuleczalnymi!

Pomyślmy, że to niemal najsrożej dotknięta przez los kategorya cierpiących. Niechajżeby tén, który wie, że nieodwołalnie zbliża się do śmierci, wolnym był przynajmniej od żebractwa w dniach ostatnich swojej ciernistej pielgrzymki ziemskiej. W przeciwnym razie radość, szczęście, nadzieja, przyszłość — wszystkie razem uśmiechy życia wydać się muszą koniecznie jako dary nieprawe — jako dobrodziejstwa niezasłużone i odebrane komuś.

Zapisy.

Zmarła w początkach Marca roku bieżącego ś. p. Józefa Vadtke zapisała: na budowę kościoła św. Floryana na Pradze do rozporządzenia J. E. Arcybiskupa Warszawskiego rs. 1,000—na ufundowanie w szpitaliku dziecięcym przy ulicy Aleksandrya dwóch łóżek, kapitał wieczysty rs. 5,050. Wykonawcą tej ostatniej woli swojej naznaczyła testatorka p. Włodzimierza Powichrowskiego.

Wystawa.

W czasie zjazdu w Krakowie lekarzy i przyrodników w miesiącu Lipcu r. b. urządzoną będzie wystawa przyrodniczo-lekarska. Odpowiednie nagrody przeznaczono dla wystawców, którymi mogą być uczeni i przemysłowcy polscy, firmy zaś obce przedstawiać mogą tylko okazy wyprodukowane przez ludzi naszego pochodzenia. Okazy czysto naukowe wolne są od opłaty, przyczem zawiadamia komitet, że wszystkie przedmioty asekurowane będą od ognia obowiązkowo. Od artykułów sprzedanych 10% pobierze na swoją korzyść komitet wystawy. Zgłaszać się należy pod adresem: Komitet wystawy przyrodniczo-lekarskiej w Krakowie. Ostateczny termin nadsyłania przedmiotów naznacza się na 10 Lipca. Przesyłki zagraniczne uwolnione będą od cła na zasadzie dołączonej karty upoważniającej.

Karty korespondencyjne.

Przy panującej modzie kart korespondencyjnych, która tak już dokuczyła Niemcom, że ich humoryści mówią o nowej chorobie powstałej dzięki im, i zwą ją: *Ansichtspostkartenverfolgunswahn*, nie od rzeczy będzie wspomnieć o nowej ich odmianie, która się u nas ukazała w tych czasach. Karty mieszczą na stronie właściwej kopie obrazów z tkanin jedwabnych wykonywanych systemem Szczepanika, a przedstawiających widoki Warszawy. Tkaniny są w trzech barwach: szafirowej, zielonej i popielatej, podobno te ostatnie robią wrażenie najkorzystniejsze.

Wystawa Paryzka.

Przewodniczący w komissyi oddziału rossyjskiego na wystawie paryzkiej, podaje do wiadomości za pośrednictwem „Warsz. Dniew.,“ iż otwarcie wystawy nastąpi nieodwołalnie w terminie zapowiadanym, mianowicie w dniu 15 Kwietnia roku bieżącego. Wzmiankuje wiadomość, że 80% ogólnej liczby eksponentów już wyprawiła na miejsce swoje okazy, pozostali zatem winni będą dopełnić przesyłki za frachtem pośpiesznym.

Co do pisma naszego, nieomieszka ono komunikować w treści wszystkiego, co wybierającym się na wystawę jako informacya posłużyć może, zarówno jak o mieszkaniach wynajmowanych w Paryżu na czas wystawy przez osoby naszego pochodzenia.

Nowe pismo.

Z dniem 1 Kwietnia r. b. wychodzić zacznie w Warszawie pod kierunkiem p. Zenona Pietkiewicza nowe pismo poświęcone nauce i potrzebom życia p. t. „Ekonomista.“ Komitet redakcyjny nie wymieniając przewodniczącego składają: dr. Stanisław Bukowiecki, dr. Stanisław Kłobukowski, pp. Stanisław Chełchowski, Zygmunt Heryng, Zygmunt Kotarski inżynier, Władysław Rawicz, Adolf Suligowski, Stefan Woyzbun, Adam Zakrzewski.

Prospekt wypowiada zamiar uczynienia z „Ekonomisty“ organu niezbędnego pod względem informacyjnym dla ludzi pracujących we wszelkich dziedzinach przemysłu i handlu, a nadto pożądanego dla tej sfery intelligencyi naszej, którą obchodzą żywo potrzeby kraju i połączone z niemi powszechne zjawiska życiowe.

Nie wątpimy, że przy tem kierownictwie „Ekonomista“ wywiąże się z założenia swego, wypełniając tym sposobem lukę, która dotkliwie czuć się dawała dotąd w naszem piśmiennictwie peryodycznem. Cena „Ekonomisty“ w Warszawie rs. 6 rocznie — na prowincyi rs. 7 kop. 20. Adres redakcyi i administracyi Warszawa, ulica Sienna Nr. 33, m. 4.

Wskazówki i rady.

Wywabianie plam tuszu na obrusie (na żądanie).

Podłożyć plamę czystą bibułą, a po zwilżeniu plamy letnią wodą, skropić ją płynem złożonym z jednej części kwasu solnego i dziesięciu części wody, zostawić przez kilka minut pod działaniem tego, a następnie zebrać wilgotną gąbką, spłókać czystą wodą, zmienić podłożoną bibułę i wysuszyć na powietrzu.

W ten sam sposób wywabia się czerwony lub fiołkowy atrament, tylko zamiast kwasu solnego użyć kwasu winnego lub mieszaniny z jednej części wody chlorkowej i dwóch części wody zwyczajnej. Do zwyczajnego atramentu używać soli szczawikowej. Każdą plamę po zupełnem wywabieniu sprać, szeroko zajmując materyał ciepłą wodą z dobrem mydłem, żeby zniszczyć ślady.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

Są do nabycia w księgarniach podręczniki naukowe pedagoga **Reussnera** p. t.

Najlepsza Metoda

najłatwiejsza do bardzo prędkiego a gruntownego nauczenia się Języków Obcych bez nauczyciela, z objaśnieniem **wymowy** i z **Kluczem** na końcu każdego dzieła:

„Samouczek" **Polsko-Niemiecki.** kurs wstępny. **(Elementarz)** po kop. 12, 24 i 40—kurs I-szy kop. 60,—kurs II-gi k. 1.60,—komplet (oba kursy) k. 2.00; **Rusko-Niemiecki Samouczek** po kop. 12, 24, 40 i 2.20.

„Samouczek" **Polsko-Francuzki,** kurs I-szy kop. 1.20, 13 zeszytów, kurs II-gi k. 3.20. Gramatyka Polsko-Francuska k. 1.20.

„Samouczek" **Polsko-Angielski** kurs I kop. 75,—kurs II k. 1.20, komplet k. 1.70.

„Samouczek" **Polsko-Ruski** z wymową i akcentowaniem 31 zeszyty po 10 kop. (pocztą 23 k.).

Elementarz Polski z wzorkami pisma i rysunków i z obrazkami **(741 figur)** po 6, 20 i 30 kop.

Na przesyłkę pocztową dolicza się 25 kop. do każdego rubla. — Skład u autora (Reussnera) Złota 6, Warszawa. 2008

1861 r. 1872 r.

Skład

1882 r. **TOWARZYSTWA** 1896 r.

wyrobów porcelanowych i fajansowych

M. S. Kuzniecowa,

Senatorska 32.

Poleca w wielkim wyborze **Serwisy** porcelanowe: stołowe, do herbaty i kawy; garnitury umywalnie rozmaitych fasonów i najróżnorodniejsze desenie, oraz najrozmaitsze **filiżanki** do kawy i herbaty, wyroby majolikowe. Specyalne naczynia porcelanowe dla restauracyj. Porcelana pod względem trwałości przewyższa wielokrotnie wszelki fajans, chociażby najtrwalszy. 2044

Dozwol. przez Urząd Lekar. Gub. Warsz. za № 868.



SPECYALNA PRACOWNIA BIELIZNY
MĘZKIEJ, DAMSKIEJ, DZIECINNEJ i POŚCIELOWEJ
Rutynowanej Specyalistki

W. KUSIDŁOWICZ

W WARSZAWIE
Krucza 42 (w podwórzu)
Cenniki illustrowane gratis i franco. 2039

SZTUCZNA CEROWNIA oraz pralnia Firanek i Koronek **Teofili Zalewskiej** 202	Warszawa Królewska 45 m. 12.

Tanio—prędko—elegancko
Znaczenie wypraw
i wszelkie 2023

Hafty salonowe

Przyjmuje się: **Żórawia № 30,** m. 15, róg Marszałkowskiej.

PRACOWNIA SUKIEN I OKRYĆ DAMSKICH

JADWIGI ESMAN

b. krojczyni firmy
B. HERSE
Przyjmuje wszelkie obstalunki w zakres krawiectwa damskiego wchodzące.
Marszałkowska № 119, 1-sze piętro. 2040

Najtańsze źródło dla

Sztory, Witraże, Kapy na łóżka
oraz **Wyroby Pończosznicze**
poleca

F I R A N K I

w wielkim wyborze
i najtaniej
MARYA TALMA
ul. Książęca № 4, drugi dom od placu Ś-go Aleksandra
robiących wyprawy

SKŁAD WYROBÓW
Saskiego Akcyjnego Towarzystwa
Fabryki Bronzów

Bielańska № 1

poleca wykwintne lampy i żyrandole do gazu, elektryczności, oraz naftowego oświetlenia. Galanterya bronzowa wszelkiego rodzaju. Ceny fabryczne. 177



AKCYJNE TOWARZYSTWO
Fabryki Mebli Wiedeńskich

JAKÓBA i JÓZEFA KOHN

Warszawa, Plac-Teatralny № 11.
Poleca
wielki wybór najgustowniejszych i najelegantszych mebli wiedeńskich,
mianowicie:
MEBLE ZWYCZAJNE, MEBLE FANTAZYJNE, MEBLE BUDUAROWE, MEBLE GABINETOWE, MEBLE SALONOWE i t. p. **wyplatane, wypalane, imitacya skóry w różnych kolorach i deseniach, kryte materyą, skórą, pluszem** i t. p.
Pierwsze źródło tej branży.
CENY PRZYSTĘPNE. 219

S. HISZPAŃSKI **SZEWC** 2047 Od 1 Lipca tylko **Erywańska № 16.**	**ZOFJA KRAKÓW** Z PARYŻA **KAPELUSZE, NOWOŚCI,** *4. Czysta 4.* 2046



Gazo-naftowe maszynki „Gwiazda"
Palą się bez knota i pompki, zużywają nafty za ½ k. na godz., nie wydzielając żadnego zapachu. **Sztuka rs. 1 k. 50, z przesyłką rs. 2.**
Kuchnie kieszonkowe „Dublex"
przygotowujące pokarmy nader śpiesznie, nawet w największych naczyniach. 2019 **Ceny te same.**
Sprzedaż wyłączna u wynalazcy ***I. Luba,***
LESZNO Nr. 63, w Warszawie.



FABRYKA GORSETÓW
Wilhelma Steiner

Warszawa, Ś-to Krzyzka 34 218
Wysyła na prowincyę za zaliczeniem szybko i akuratnie.

Dr. A. Buckiewicz

Wilcza № 28.
Wewnętrzne i skórne (specyalnie reumatyzmy, skrofuły, nerki). Prócz poniedziałków od 12—1 i 5—6. 206

SZKOŁA KROJU i SZYCIA
STEFANII KUCZYŃSKIEJ
oraz pracownia sukien „Pelagii"
Żórawia Nr. 1 m. 9,
za pomocą przystępnych w 4-ch językach wykładów wyucza w bardzo krótkim czasie kroju i szycia. Tamże przyjmują się do roboty suknie i okrycia damskie, wykonywane podług najnowszych modeli. 2012

Materace sprężynowe
„GLORIA"

są: najhygieniczniejsze, najpraktyczniejsze, najwygodniejsze, zastosowane do wszelkich łóżek drewnianych i żelaznych. Zawsze elastyczne, niema robactwa, niema kurzu, niema reperacyi.—Wykonywają na miarę do każdego łóżka

A. Witkowski i S-ka
Hortensja № 7, m. 27. 156

Pracownia Okryć Damskich
oraz Kostiumów Angielskich

J. Matulewicza

długoletniego współpracownika firmy: „BOGUSŁAW HERSE"
Ulica **Nowogrodzka 33, m. 18,** róg Marszałkowskiej, w Warszawie. 2031

Pracownia Bielizny i Haftów

Pauliny Estreicher

KRUCZA 31, m. 19 2018
Przyjmuje wszelkie zamówienia wchodzące w zakres bielizny. **Ceny przystępne.**

OCZEKI!!

wana **Błyskawica,** proszek znany z doskonałości do czyszczenia srebra, miedzi, mosiądzu, porcelany oraz szkła, już nadszedł. Torebka za **kop. 5,** starczy conajmniej za 4 pudełka pomadki, nie będąc wstrętną jak ta ostatnia w użyciu, nie walając, nie brudząc, nie plamiąc. Żądać wszędzie. Każda oryginalna torebka winna być zaopatrzona podpisem **B. Landy** Warszawa, ulica Leszno Nr. 27. 2020

Nowo-otworzony Magazyn
STROJÓW DAMSKICH

SABINY

2033
poleca wielki wybór kapeluszy z najświeższych modeli zagranicznych po cenach b. przystępnych. Krakowskie-Przedmieście № 51.

SKŁAD WYROBÓW LNIANYCH I BAWEŁNIANYCH

Fr. Tomaszkiewicz

Długoletni wspólpr. firmy Żyrardów
w Warszawie (Krakowskie - Przedmieście № 64), Gmach Resursy Obywatelskiej,
poleca:
Płótna Bielefeldzkie, Żyrardowskie, Jarosławskie i Włościańskie Prześcieradła płócienne i bawełniane, Chustki do nosa, Ręczniki, Bielizna stołowa, Madapolamy, Victorya, Kołdry watowe i pikowe, Drylichy na materace, Wyroby pończosznicze, Wielki wybór firanek i t. p. 2043

PRACOWNIA HAFTÓW

J. DULMAN 2028
Ś-to Jerska 21, miesz. 8.
Otrzymał najnowsze modele na okrycia i suknie damskie na sezon letni.

GRONKIEWICZ

Kaucyonowane Biuro Rekomendacyjne
Załatwia wszelkie czynności w zakres biura wchodzące. **DZIAŁ DAMSKI** prowadzony bardzo starannie. **Czysta Nr 6.** Telefonu 1758

Дозволено цензурою. Варшава, 7 Марта 1900 г. Redaktor Jan Skiwski. DODATEK.

Wydawnictwo i Druk Warszawskiego Towarzystwa Akcyjnego Artystyczno-Wydawniczego.